

Kolejny dzień. Słońce – biała, paląca się wiecznie bańka, pieprzony świetlisty kleks na szacie Boga wyszedł zza liści i przedarł się przez okno. Wprost do moich oczu. Nienawidzę tego ścierwa. Kolejny dzień. Znów światło. Muszę wstać mimo, że czuję, jakby rozbite szkło walało mi się w czaszce, a do tego mam problem z ostrością widzenia. Nerwowo przebieram ręką po szafce, ale okularów nie ma. Gdzie są okulary?

Wyglądam za okno. Widok taki, jak zawsze – średniowieczna twierdza króla Artura. Tuż pod jego murami kręcą się wozy kupieckie, a jego chłopci robią w polu. Ale powiem szczerze, że facet nie ma szczęścia co do tego roku – już mu dwa razy smok zjarał plony w przypiływie hysterii. Powiadają, że ma wrzody. Cóż, i tak bywa. Od kiedy jego „wierny” Lancelot założył Partię Okrągłych Stolców, nawet handel podupadł w tych stronach. Polityka jest śmieszna.

Opieram ręce na szorstkim materiale, tym na którym śpię. Mam przez niego swędzenia pleców. Siennik, kopany średniowieczny siennik. Na tym śpię. Ale nie, nie dołujmy się, jest świetnie. Moje życie ma głębokie znaczenie. Wiem to.

Mam totalnie gdzieś, że matka mi umarła. Wisi mi, że wydałem wszystkie pieniądze na jej leczenie, że żona przez to ode mnie odeszła, a moja córka zaszła w ciążę z jakimś kopanym leszczem. Brudasem cholernym, bez perspektyw, nawet ładny nie jest. Nic nie jest. No i ktoś ukradł mi portfel, albo wypadł mi jak witałem w sklepie po kolejne piwa, z tego wszystkiego. I to, że ukradli mi lusterka w samochodzie, zbili szybę. I to, że mój interes runął przez zaniedbanie. Że pralka mi wysiadła. No, może niekoniecznie wszystko w takiej kolejności.

Znów o tym myślę. Znów ręce mi latają. A tak, drżą i nie mogę nad tym zapanować. Nerwica jakaś. Albo nie nerwica. Sam nie wiem czym są latające dłonie. Mam to w sumie gdzieś. Moje życie ma głębokie znaczenie. No nie?

I znów łapie się na tym, że gadam do siebie.

Wchodzę pod prysznic, ale zaraz wracam, bo nie zdjąłem skarpetek. Odkręcam wodę. Na początku ze słuchawki tylko nieśmiało kapie, ale po kilku sekundach rozkręca się na dobre. Zraszam głowę, a zimna woda ocuca otumanione niespokojną nocą zmysły. Nawet ta potłuczona butelka wypada którymś uchem. Nie wiem tylko kiedy. Jak zaczynam myśleć, gubię trochę poczucie czasu.

Strużki wody biją się o miejsce na mojej twarzy. Jedna wypycha drugą. Oblepia mnie coraz cieplejszy wodospad. Myję włosy, plecy, nogi, szyję, wszystko. Zakręcam wodę i owinięty ręcznikiem podchodzę do zaparowanego lustra. Nawet nie zdążam go dobrze przetrzeć, a już tam jest w odbiciu, po jednej stronie mojej głowy.

– Co ty robisz? – pyta nadąsana.

– Do jasnej ciasnej, czy jeszcze nadejdzie dzień, w którym nie będę cię widział?

A ta jak zwykle prychnęła, z miną królowny obrażonej na cały świat. Fruwa nad moją głową, na tych swoich opalizujących, mieniących się tęczą skrzydełkach. Mała dziewczynka w koronie. Tak, jest pieprzoną wróżką. Ja też nie wiem skąd się wzięła.

– Siódma trzynaście, a ty co dopiero spod prysznicza wyniosłeś swój tłusty zad! – rzuca arogancko.

– Ty mała... do mnie nie odnoś się takim tonem! Nie do mnie! Jestem za stary na takie kretyńskie zabawy! Do cholery, przecież nie zamawiałem żadnej fruwająco-tańczącej, i pieprzącej od rzeczy chińskiej zabawki! Za-wa-dasz. Get it? – Sam już nie wiem jak to robactwo wypędzić. Siła perswazji i moja wrodzona charyzma nie pomagają. Uroku osobistego boję się użyć, bo jeszcze na dobre zostanie. No więc przecieram dalej ignorując ją.

– Siódma czternaście.

To chyba podświadome, że robię jej na złość. Choć na złość najmocniej robię sobie, bo naprawdę nie zdążę do pracy. Wyciskam z młasińciem ostatni bąbel pasty na szczoteczkę do zębów, i myję.

– Siódma piętnaście.

Myję spokojnie. Spokój jest najważniejszy.

– Siódma szesnaście. Mówię do ciebie? Grubasie.

Przemywam w spokoju twarz. Lekarz mówił, że spokój jest ważny. Że to wszystko minie. Sam mówił, że wróżki nie są takie rzadkie. Że przylatują tylko wtedy, gdy ktoś potrzebuje pomocy. One pomagają tym niepunktualnym. To po co człowiek wymyślił budzik, skoro wyręcza go w tym wróżka? Może warto by to było dłuższej kontemplacji.

– Nie zdążysz! – popędza mnie.

– Wiem, zamknij japę. – rzuca we mnie jakimś pociskiem. Coś kolorowego, oślepiającego. Wygląda to komicznie, jakby rzucała garścią cukierków. Schylam się czym prędzej, a uderzenie cukierkowego potworka roztrzaskuje się o lustro. To już dla mnie za dużo. Przecież to śmieszne. Widywałem wiele wrózek, ale nigdy takiej upierdliwej. Dlaczego ten Święty Mikołaj, czy kto tam je przysyła, musiał wybrać dla mnie największą mendę wróżkowej profesji? Każdy by oszalał. Ja już oszalałem.

– Ty pieprzona...!

Cyk, cyk cyk. Szalony wybuch budzika, który stoi tuż obok mojej głowy, na szafce. To jak obuchem w łeb, podrywam się niemal z krzykiem. Kurwa, czym sobie na to wszystko zasłużyłem?! Wyłączam go, ten szumi dziwnie, coś w nim terkocze. Może jest chory? Ja chyba jestem chory. Uciszam go pod poduszką, zrzucam nogi z siennika na ziemię. Ach tak, siennik. Jak dobrze. I to świecące ścierwo za oknem.

Masz piękny uśmiech, koniu. Stoi taki, naprzeciwko mnie, szczerzy się dziwnie, tak beztrosko. Jak ja dawno nie byłem taki beztroski. Ostatni raz, gdy byłem w wieku mojego syna, Arka. Potem rodzice się rozwiedli i już nie było tak beztrosko.

Znów gadam do siebie.

Jego czarne, pięciokaratowe oczy błyszczą, gdy mnie ogląda. Jednorożec. Ma piękny, spiralny, różowy róg. Długie, umięśnione nogi, niebieskie kopyta. I lubię dotykać jego sierści. Śnieżnobiałego puchu. O, koniu!

– Wygwizd, znów śniła mi się ta śmieszna wróżka. I znów ta ździra chciała mnie zabić. Ostatnio śniła mi się dziwne rzeczy. Takie naprawdę. A tobie? Co ci się śniło, przyjacielu?

Coś do mnie mówi, ale go nie słyszę. Mam problemy ze słuchaniem Wygwizda. Bo on chyba sepleni. Może mówi za cicho. Chociaż, gdybym słyszał, to bym to stwierdził na pewno.

Dzień zapowiada się dobrze, nareszcie worek ziemniaków nie kula mi się pod czaszką. Widzę całkiem dobrze. Nawet bardzo dobrze. Na szafce leżą jednak te okulary. Na gazecie. Chyba coś czytałem przed snem. Nie pamiętam już, co to mogło być. Tyle głupot w gazetach.

Czas odrzucić zbędne myśli. Masuję skronie, potrząsam rześko głową. Lekarz kazał. Odrzuć problemy, myśl pozytywnie, a najlepiej rób to od rana. To taka zabawa, jak samurajskie walki na miecze. Chociaż nie rozumiem, dlaczego mężczyźni w sukienkach i kitkach, mają uczyć mnie, Europejczyka ze średnią penisa piętnaście centymetrów, czym są jaja, i prawdziwe męstwo?... Przecież wszyscy wiemy, co się mówi o facetach z dużymi mieczami... Ale to nieważne, bo mistrzowie miecza powtarzają – tylko oręż i na dłoń, i w oczy przeciwnika patrz. Za dużo myśli, złe. Bez myśli. Szkoda tylko, że to „bez myśli”, tak wielu ludzi bierze sobie do serca we wszystkim co robi. Do cholery, znów myślę niepozytywnie. Nic nie pomaga. Wygwizd mnie słucha, ale milczy. Nie mam żadnego wsparcia, a cierpienie wraca nieubłaganie. Aż łzy cisną się do oczu.

Jednak nie obchodzi mnie, że matka mi umarła, że klęczałem przy jej łóżku miesiącami, że czyściłem konto z pieniędzy w tajemnicy przed rodziną by jej nie denerwować. Wszystko, by płacić za leczenie, by ją uratować. I nie uratowałem. Teraz klęczę przed jej grobem. Mam bić się w głowę z bezradności? Znowu? Proszę, nie... Jestem zmęczony. Wyczerpany tym pieprzonym porankiem.

Boli mnie... mózg. Mam wrażenie, jakbym został sparaliżowany. Wspomnienia wbijają się do głowy brutalnie. Jak gwoździe, wtlaczone młotem w czaszkę. Rzępolący, mechaniczny dźwięk piły rozcinającej

mnie na dwoje.

Cześć mamó, przyniosłem ci kwiaty, i bombonierkę. Jak to u nich, dają radę. Arek skończył sześć lat. Możesz być z tatusia dumna, wożę go cały czas do szkoły. Przecież muszę mu pomóc w tych ciężkich chwilach, gdy stawia pierwsze kroki w szkole. Haha, tak mamó, uczy się lepiej ode mnie. Jasny gwint, nie przypominaj mi, nienawidzę tych szkolnych wspomnień. I wiesz co mamó, tak, Mariusz mi dokuczał. Oj, nie mów. No nie mów. Tak, pewnie, tylko za co się obwiniasz? Przecież byliśmy dziećmi, nic nie mogłaś zrobić. W szkole średniej mu się odwdzięczyłem zbijając go na kwaśne jabłko. Oj, mamó, przecież ja wyszedłem na ludzi. Tak... tak jak mówisz. Szkoda, że tata nie widzi wnuków. Z butnej pannicy Asi też byłby dumny.

Żałuję tych wszystkich telefonów, których od ciebie nie odebrałem. Wiem, wiem, zawsze byłem zapracowany i cię zbywałem. Z tatą miałem wieczne utarczki. Nie jestem z tego dumny, ale nie martw się, dzieciaków i Ewy nie zaniedbuję. Staram się być dobrym mężem, ojcem. Jestem dorosły... Uwielbiam gdy się uśmiechasz. Jeszcze wiele razy się uśmiechniesz, wiesz? Co to za pesymistyczny scenariusz?! Bierz przykład ze mnie, zawsze się uśmiecham!

A wewnątrz krzyczę, wyję, biję o ścianę pięściami, krew spływa mi z rozwalonych kłykci. Nie umieraj mamó! To taki poniżający zew rozpaczy...

Świat nagle przestaje istnieć. Coś huknęło. Wszystko rozpada się na tysiące drobin, małych luster na czarnym tle, które odbijają obraz mojej twarzy. I gdy myślę, że to koniec, dobiega mnie dźwięk przewijanej taśmy. Czy coś takiego. Szmer trawiący uszy. Mój mózg to teraz galareta.

Wreszcie wrywam się z zadumy. Kurwa, co ty pierdolisz...? Jaka matka ci umarła, przecież żyje. Ma się dobrze, jest z tatą w Egipcie. Upajają się pomarańczowym słońcem sącząc kolorowe drinki z palemką, w wilgotnej bryzie basenu. Drzemią na leżakach w cieniu palm. Dobrze im się wiedzie mimo emerytury. Cieszy mnie to.

Wygwizd nagle przestał się śmiać. Jego czarne, kuliste ślepią czerwienieją, a jego róg wyblakł, puch robi się szorstki, zamienił się wręcz w skorupę. Niepokoję się, ale nim zdążam cokolwiek powiedzieć, nogi się pod nim załamują. Jak klejony model samolotu zwieszony z sufitu, spada bezwładnie roztrzaskując się o podłogę. Tłucze się jak szkło, a części jego ciała rozbłyskają się różnorodnym blaskiem, stając się sprężystymi kwadracikami, które podskakują swawolnie po całym pomieszczeniu. Jak zdziczałe, wredne małpy rozpanoszyły się w każdym kącie, piszcząc przeraźliwie z każdym dotknięciem materialnej powierzchni... Cóż to jest?!

Chwytam szybko za uszy i zalegam na podłodze. Zwijam się w kłębek jak płochliwe, niewinne zwierzątko. Chyba jestem już przestraszony. I to właśnie teraz jak grom z jasnego nieba, zapadła grobowa cisza. Mogę tak leżeć, naprawdę, ale unoszę się bo mi zimno. Wieje.

Leżę na wilgotnej, gęstej i długiej trawie. Zewsząd czuję aromat kwiatów, których nie rozpoznaję. Są dziwne, ale ładne. Łąka. Piękna, błoga łąka kwiatów, którą dekoruje świergot ptactwa. Wreszcie coś, co pomoże mi odpocząć. Siadam ciężko i rozglądam się. Raczę umęczone ciało chwilą wytchnienia. Wtem przede mną staje... jakiś pan? W szacie z kosmatego samodziału, z obwisłym kapturem na głowie. Ma mrok zamiast twarzy.

– Poczta? – pytam, bo już sam nie wiem, czego mogę się spodziewać. Postać milczy jeszcze chwilę, jakby się zastanawiała co ma powiedzieć. W końcu silny, dźwięczny głos brzmi na łące:

– Poczulem morza toni, na wschodzie słońca wstające. Zapytałem ich? Jeden z równych, równiejszych powstaje z odważnych miłości? Mistrz, jagnięcina na flecie, czy tak nie? Waleczny murzyni, masło z Biedronki? Zapytam ponownie... Czy masz wrogów. Czy na wiatr szczekają, a las bujnie syczy. Milcz, i te czarne wierzchowce?

– Co? Myślisz, że ja będę parzył herbatkę?... A wypierdalaj!

– Obłądu marsz nie skończy? Marsz, biegiem, czołgania podobny. Nie boski, gwar miasta niegodny. Powtórzę ci... Czy przyjaciół masz. A pewno, czarne, źli ludzie z mieczami? Czy pomieszanie, w twoja

głowa nastanie?

– Pomieszczenie w moja głowa już nastąpiło jełopie. A teraz spieprzaj, chcę spać! – postać zaczyna mi się rozmywać, wszystko niknie pod moimi nogami. Niewidzialna dłoń szarpie mnie za ubranie – kiedy zdążyłem się ubrać? – i zabiera do góry nie bacząc na granice wytrzymałości mojego organizmu. Mam wrażenie, jakby coś próbowało mnie za wszelką cenę spłaszczyć, nim jeszcze wkroczymy w Stratosferę. Wymiotuje, z ust ciągną mi się nacie rzygowin, ale mój przewodnik jest nieugięty – nadal lecę. Wszystko się we mnie kręci. Jestem ptakiem. Latam między białymi obłokami. W sumie czuję się wolny. Nareszcie. Czy tak zostanie?

Ale ten cep bez twarzy nie daje za wygraną. Jego głos odbija się echem w moim umyśle.

– Byłem, przeznaczenie śmierci i powstrzymanie? Żywność, czy zła leki. Choroba woła, panie, się toczy. Halo, halo. Jestem?

– Co Ty pieprzysz? Kim ty jesteś?! Zostaw mnie!

I wtedy otworzyłem oczy. To nie było niebo, to nie były chmury. To był kryształowo-biały pokój bez okien.

– Halo? Panie Januszu, niech pan się nie wydziera. Ma pan na sobie kaftan, szarpanie i gryzienie nic nie da... Zaraz podam panu kolejny zastrzyk. Jak dzisiejsze samopoczucie? Lepiej?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

deathhascome, dodano 24.05.2011 20:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.